



Mirosław Derecki  
ZAWÓD: DZIENNIKARZ  
ROZMOWA Z RED. LESŁAWEM GNOTEM

- Kilka miesięcy temu „Kurier Lubelski”, pismo, którego był pan współzałożycielem, i którym kierował, pan przez ćwierć wieku (!), skończył trzydzieści lat. W 1957 roku wraz z grupą młodych dziennikarzy przecierał pan drogi dla zupełnie nowej (dla Lublina) formy gazety, która z czasem miała się tak bardzo silnie zrosnąć z życiem miasta. W „Kurierze” za pańskiej „kadencji” wychowało się całe nowe pokolenie dziennikarzy, a i pan sam chyba, w jakiejś mierze, „dorastał” w tym zawadzie: przypomnę, że obejmując stanowisko redaktora naczelnego miał pan... dwadzieścia siedem lat, będąc najmłodszym „naczelnym” w kraju! Jak pan, po tylu latach praktyki, pojmuje rolę zawodu dziennikarza; dlaczego pan został dziennikarzem?

- No cóż, od czasów młodości pozostaje wciąż we mnie żywe, choć może dla niektórych: „przestarzałe”, rozumienie zawodu dziennikarskiego przede wszystkim, jako służby społecznej. To jest istota tego zawodu. I muszę wyznać, że chociaż dzisiaj człowiek niewątpliwie już wyrósł z różnych młodzieńczych romantycznych rojeń, to gdy, na przykład, ktoś ze znajomych wspomni w rozmowie, abym jego dziecku dopomógł w zdobyciu zawodu dziennikarza, bo chłopak czy dziewczyna nie dostali się... na medycynę (!), to coś mi tam „pika” w sercu... Nie potrafię mego zawodu traktować jako zawodu „zastępczego”.

A dlaczego ja sam zostałem dziennikarzem? To wynikało z wielkiego przeżycia w latach chłopięcych... W 1941 r. do naszego domu, a mieszkaliśmy w Stalowej Woli, młodym przemysłowym mieście, ojciec przyniósł gazetkę podziemną. Czytaliśmy ją wszyscy z ogromnym nabożeństwem. I wtedy postanowiłem, że zostanę dziennikarzem...

- Jak wypadły pierwsze próby pisania?

- O mało nie skończyły się tragicznie, bo wkrótce, po tym moim pierwszym spotkaniu z prasą konspiracyjną, chwyciłem za pióro, napisałem jakieś straszliwe patriotyczne wierszydło, przepisałem je w kilku egzemplarzach i rozwiesiłem na okolicznych drzewach. Zobaczył to sąsiad i powiedział mojemu ojcu, żeby porządnie dał mi w skórę, bo na całą

dzielnicę sprowadzę nieszczęście. Ojciec wprowadzie nie zastosował się do rady sąsiada, ale odbył ze mną długą, poważną rozmowę.

- A jak się dla pana naprawdę zaczął zawód dziennikarza?

- Oczywiście, od nauki. Po zdaniu matury poszedłem na wymarzone studia dziennikarskie, do Krakowa. Po dziś dzień nie wiemy do końca, jak naprawdę powinny takie studia wyglądać. Myślę, że nie od rzeczy byłoby przyjrzeć się jeszcze raz staremu, tużpowojennemu krakowskiemu ich modelowi, o którym nie zawsze się już nawet pamięta.

Zaczynałem na Wydziale Dziennikarskim krakowskiej WSNS. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby ktoś z różnych dziedzin nauki po trochę nasypał do worka, a potem potrząsnął, żeby dokładnie wymieszać. No, bo na tych studiach mieliśmy trochę polonistyki (w niezłym zresztą wydaniu, m. in. przez niedługi okres wykładał także prof. Kleiner), trochę ekonomii, filozofii, socjologii, jakieś bardzo „amatorskie” należy przyznać - wykłady z prasoznawstwa... I trzeba jeszcze dodać, że program nauczania był bardzo niespójny w sensie ideologicznym: spora grupa przedwojennych wykładowców i „raczkujący” dopiero młodzi marksiści... Na przykład prowadził wykłady prof. Adam Krzyżanowski, którego głównym dziełem życia była „Chrześcijańska myśl polityczna”, a obok niego - jego bratanek, młody „napalony” marksista, który cały swój wykład poświęcał krytykowaniu tego, co poprzedniego dnia wygłosił jego stryj.

- A który z wykładowców zapadł najbardziej w pańską pamięć?

- Grzegorz Leopold Seidler; wówczas jeszcze „zwykły” doktor... Prowadził z nami takie dość „dziwne”, ale do końca sformułowane zajęcia, określone ogólnie mianem: „wstęp do nauk politycznych”. Otóż dr Seidler, postać już wówczas barwna i niecodzienna, poza tym, że dzięki swojej wyjątkowej erudycji stworzył nam oczy na wielość systemów politycznych (wykładał z pozycji marksistowskich, ale nie tych „ciasnych”, jakie się w owych czasach już zaczęły rysować), nauczył nas jeszcze jednej bardzo ważnej, także dla dziennikarza, rzeczy: co należy robić, aby nie zanudzić odbiorcy. Na przykład kiedyś prowadzi wykład i nagle powiada: „Proszę państwa, ja już tutaj mówię ze dwadzieścia minut na poważne tematy i zupełnie zapomniałem, że czas najwyższy, żeby zrobić humorystyczny przerywnik, rzucić jakiś dowcip rozładujący napięcie intelektualne...” „A jak żaden dowcip nie przychodzi do głowy?” - Pyta ktoś „dociekliwie” z audytorium. „Jak nic nie przychodzi do głowy, to trzeba, chociaż powiedzieć: „dup”! - odparowuje dr Seidler.

- I jaka z tego wszystkiego, co pan mówił o krakowskich stadiach dziennikarskich, wynika konkluzja?

- Taka, że uważam tamten model studiów za znakomite „pobudzenie intelektualne”. I to jest moim zdaniem, najważniejsze dla przyszłego dziennikarza. A nie, jak to się nieraz widzi,

wyczerpujące uczenie młodych ludzi - jak pisać np. felieton, czy - jak pisać reportaż. Owego „praktycznego” dziennikarstwa uczyłem się w gazecie. Wynikało to zresztą za szczęśliwego zbiegu okoliczności, iż moje młodzieńcze pasje społeczne zeszyły się z zawodowymi. W szkole nie bardzo zaangażowałem się w harcerstwo (bałem komendantem hufca w Stalowej Woli), natomiast na studiach od początku - w pracę Związku Akademickiego Młodzieży Polskiej. I właśnie grupa krakowskich aktywistów ZAMP-u postanowiła wydawać własny dodatek przy którejś z krakowskich gazet. Przyjął nas na „swoje łamy” redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej”, organu KW PZPR, Arnold Mostowicz, zgadzając się chętnie, abyśmy - początkowo raz na dwa tygodnie, a potem co tydzień - sami przygotowywali kolumnę „Głos Akademika”. Zaczął „Głos” ukazywać się w 1949 roku; w skład zespołu redakcyjnego wchodziłi studenci reprezentujący wszystkie krakowskie uczelnie. Z Uniwersytetu Jagiellońskiego przyszedł do nas mój dawny kolega oraz harcerski druh (były komendant hufca w Łańcucie), student historii, Zygmunt Mańkowski, obecnie - znany historyk, profesor na UMCS, i prorektor-elekt tej uczelni. Przypominam sobie, że w tamtych dawnych, krakowskich czasach, spieraliśmy się z nim gorąco: jaki ma być model naukowca, a jaki dziennikarza.

- I do jakich wniosków, panowie wtedy doszliście?

- Zygmuntowi udało się znakomite powiedzenie. Otóż stwierdził on, że jeżeli jest dwóch przyjaciół i jeden z nich zostanie dziennikarzem, zaś drugi - naukowcem, a obaj będą intensywnie nad sobą pracować, to w końcu dojdzie do tego, że... jeden (naukowiec) będzie wiedział „wszystko o niczym” (taka to będzie jego wąska specjalizacja), a drugi (dziennikarz) – „nic o wszystkim”! Ale dzisiaj myślę, że aż tak źle nie jest.

- Mówił pan o praktycznej nauce się zawodu w gazecie, ale rozumiem, że nie był to tylko „Głos Akademika”?

- „Głos Akademika” żył dwa lata; a potem jeszcze na stadiach, zacząłem „normalnie” pracować w „Gazecie Krakowskiej”. W ten sposób nastąpiło połączenie „teorii” z „praktyką”. Taka sytuacja wynikała zresztą z faktu, że wówczas właśnie, po wchłonięciu Wydziału Dziennikarskiego przez Uniwersytet Jagielloński, na czele naszego wydziału stanął szef „Gazety Krakowskiej”, red. Arnold Mostowicz, i on to właśnie sprowadził kilku jeszcze innych dziennikarzy - wykładowców, dla których było sprawą oczywistą, że przyszły adept dziennikarstwa musi mieć autentyczną codzienną łączność z gazetą już od samego początku nauki. Tak więc „do zawodu” wszedłem przed ukończeniem studiów i do dzisiaj uważam, że była to rzecz właściwa.

Inna sprawa, że w owych powojennych czasach nie było w redakcjach zbyt wielu naprawdę przygotowanych do zawodu dziennikarzy. Nawet w takim mieście jak Kraków,

przedwojenni dziennikarze byli w redakcjach rzadkością. Ów „głód kadr” niestychanie nas młodych mobilizował. Z drugiej jednak strony – stwarzało to i sytuacje trudne, godzące nieraz w osobiste ambicje i plany życiowe...

- Nie bardzo rozumiem...

- Ja, na przykład, przygotowywałam się do pracy dziennikarza zagranicznego, korespondenta. Właśnie zagraniczną tematyką interesowałam się szczególnie; pod tym kątem „ukierunkowywałam” swoje studia... A tymczasem oświadczono mi kategorycznie, że mam iść do Koszalina, gdzie powstaje nowa gazeta. „Głos Koszaliński”, organ KW PZPR, w warunkach absolutnego „dziennikarskiego pustkowia”. Nie ma ludzi, nie ma doświadczeń, wszystko trzeba organizować od podstaw. No i władnie w „Głosie Koszalińskim” przeszedłem prawie wszystkie stopnie dziennikarskiego wtajemniczenia; kierowałem szeregiem działów redakcyjnych, zostałem zastępcą sekretarza redakcji, następnie - sekretarzem... A kiedy przyszedł Październik 1956 r. zaproponowano w zespole, żebym objął funkcje zastępcy redaktora naczelnego. Ale ja przypomniałem sobie, że właśnie minęło pięć lat mego pobytu w Koszalinie, a tyle właśnie miałem w terenie odpracować. Pojechałem do Warszawy, do „centrali” i przytomniałem o obiecany mi skierowaniu - po odbyciu „nakazu pracy” na stanowisko związane z problematyką międzynarodową.

- I z miejsca pana „ochłodzono”?

- Nie powiedziano „nie”, natomiast kazano poczekać kilka dni; a potem oświadczono, że na razie sprawa nie może być aktualna (był to czas zamętu, przełom lat 1956-1957), natomiast dobrze by było, żebym na jakiś krótki czas: jeden lub dwa miesiące, pojechał do Lublina i tam pomógł w uruchomieniu nowego pisma.

- I to był „Kurier Lubelski”?

- Tak. Powstająca popołudniówka, której, jak się wkrótce okazało, RSW „Prasa” wcale nie chce wydawać.

- Dlaczego?

- Wytworzyła się wówczas taka sytuacja, że z Wydziału Prasy KC przyszli do „centrali” RSW ludzie o zachowawczych przekonaniach. I właśnie oni byli „przeciw”... Przeciw mnożeniu prasy bezpartyjnej, przeciw „popołudniówkom”, itp., itd... Początkowo więc „Kurier” ukazywał się jako „organ” Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej.

- Trafił pan w sytuację zupełnej „prowizorki”?

- Ale, ponieważ w Polsce najtrwalsze są właśnie wszelkie „prowizorki” (stąd - ów gorzki dowcip: „Co jest u nas najtrwalsze? - Przejściowe trudność”), pozostałem w „Kurierze Lubelskim” dwadzieścia pięć lat, jako redaktor naczelny, a trzydzieści, jak dotąd w Lublinie, do którego przyjechałem „najwyżej” na dwa miesiące...

- Dobrze czy źle jest tak długo zasiedzieć się na jednym miejscu, na tym samym stanowisku?

- Na podstawie swoich obserwacji i doświadczeń, uważam, że w pracy dziennikarskiej w ogóle, a już szczególnie - na stanowiskach funkcyjnych potrzebny jest, jak ja to określam, „myślowy płodozmian”.

- To znaczy?

- To znaczy, że z jednej strony nie wzorowałbym się tutaj na modelu jugosłowiańskim, gdzie nie tylko wśród władz politycznych, czy administracyjnych, ale i w dziennikarstwie, obowiązuje określona rotacja, bo wówczas nie ma dostatecznego okresu na wciągnięcie się w nurt życia społeczności, zapoznanie się z jej problemami, „wrośnięcie” w środowisko, przejęcie się jego sprawami...

- Ale równocześnie - zbyt długie funkcjonowanie na jednym i tym samym miejscu, grozi (nawet: wykluczając wchodzenie w jakieś tam „koterie”, wrastanie w jakieś tam „kliki”, itp.) - zatraceniem ostrości widzenia pewnych problemów?

- Zgoda. I to właśnie ta druga strona zagadnienia, o którym zacząłem mówić... O ile, na przykład, nauczyciel może przez całe życie uczyć w jednej szkole: przewiną się przez jego ręce całe pokolenia uczniów i wyjdzie to obu stronom tylko na dobre; to dziennikarz przyzwyczai się z obiegami lat do pewnych deformacji, do różnych niewłaściwości w danym środowisku i to będzie miało określone odbicie w jego działalności... Toteż myślę, że dziennikarz co jakiś czas powinien zmienić „punkt widzenia”. Albo inaczej: „punkt siedzenia”.

- Może wróćmy jeszcze do „Kuriera Lubelskiego” i do jego początków, a ściślej: do pańskich koncepcji związanych z powstającym, w połowie lat pięćdziesiątych, nowym pismem...

- Warto może najpierw przypomnieć, że w tamtym okresie, inaczej niż w wielu innych miastach wojewódzkich, w Lublinie wychodził tylko jeden dziennik - gazeta partyjna. Moją ambicją było stworzenie takiego modelu pisma, które dla rozwijającego się Lublina, wówczas już miasta kilku wyższych uczelni, o określonym środowisku intelektualnym - byłoby akcentowane nie tylko przez tych najmniej wyrobionych odbiorców, owych „typowych” czytelników, gazety popołudniowej.

- Myślę, że w dużej mierze, to się panu udało.

- Natomiast dzisiaj, spoglądając już zresztą na „Kurier” z innego miejsca...

- Z pozycji komentatora w „Sztandarze Ludu”...?

- Nie. Po prostu: z dzisiejszej perspektywy... Otóż zastanawiam się, czy obecnie jeszcze taki model byłby ciągle aktualny? Bo przecież... co takiego zaszło w naszym mieście, w

naszym środowisku, w ciągu ostatnich dziesięcioleci? Wszak, na przykład „Kamena”, która trzydzieści lat temu była organem lubelskiego oddziału ZLP, jest już od dawna pismem społeczno-kulturalnym, wydawanym przez RSW „Prasa”, w obrębie tego samego, co „Kurier Lubelski” Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego... Jak szalenie - w sensie rozszerzenia problematyki - zmienił się „Sztandar Ludu”!...Mamy skromną, ale własną telewizyjną „Panoramę Lubelską”... Tego wszystkiego nie było, kiedy my z „Kurierem” startowaliśmy i kiedy ja starałem się zrealizować taki a nie inny model nowej popołudniówki. Dorosło zupełnie nowe okolenie - zarówno: czytelników „Kuriera”, jak i - dziennikarzy w „Kurierze” zatrudnionych. Dla nich np. różnorodność środków masowego przekazu jest już oczywistością! Co nie znaczy, że gotów jestem bezkrytycznie akceptować wszystko to, co się dzisiaj w „Kurierze Lubelskim” robi. Ale to, że on powinien być inny niż dawniej jest zupełnie oczywiste.

- Podkreślał pan w naszej rozmowie „bezpartyjność” redagowanej przez siebie gazety. Jak zatem tłumaczyć, że wieloletni redaktor dziennika bezpartyjnego, był zawsze, i jest nadal, tak mocno „politycznie zaangażowany”?

- Chyba każdy zawód jest „polityczny” – czy się tego chce, czy nie chce. A już szczególnie zawód dziennikarza. Ja się z takim przekonaniem nigdy nie kryłem; wszak w okresie kierowania „Kurierem” byłem członkiem miejskiej, a potem – wojewódzkiej instancji partyjnej, lektorem KW i KC PZPR, bo nie widzę w tym zresztą żadnej sprzeczności. Starałem się nie być w swoich poglądach sekciarski, jako warunek podstawowy wyznawałem otwartość; a jednocześnie - akceptowałem zasadę kierowniczej roli partii w stosunku do wszystkich środków masowego przekazu.

- A jaka jest pańska recepta na pracę dziennikarza – w dniu dzisiejszym?

- Najkrócej rzecz ujmując, taka – że musi on te wszystkie wielkie sprawy, które są treścią życia naszego narodu omawiać, komentować, popularyzować. Ale czyniąc to, musi on umieć pisać w sposób dostępny dla każdego czytelnika.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 18, s. 4-5.